



Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

NASZA SZKOŁA.

Sesja, cenzurki i wyjazd na święta.

Praca w ciągu roku szkolnego wre zawsze, ale gdy mają nadejść święta lub wakacje i ten tak dawno oczekiwany wyjazd do domu — o, — to zupełnie inny nastrój panuje w szkole!

Najpierw, jako przed sesją, zaczynają się sypać na nas częstsze odpytki, klasówki z polskiego, algebry, fracuskiego, dydaktyki, wreszcie następuje poprawianie uczenic z 3 na 4, a czasami odwrotnie. Pomimo wszystko jednak nie straszą nas tak bardzo te surowe powtórki, bo myśl co chwila staje w domu i ten wyraz „dom” łagodzi wszelkie trudności i niebezpieczeństwa, jakie na nas spadają.

Niektóre dziewczynki już chcą końca, czekają z upragnieniem godziny ciężkiej, surowej godziny sesji, aby móc usłyszeć choć troszkę słów z ust pań, czy to lufcikiem od kancelarji, czy to przez ścianę.

...I tak mijają dni i wpadają w przeszłość, a zdają się dla nas wiekami...

Nadchodzi wreszcie straszny dzień — to sesja. — „Zacznij się o szóstą” — słychać grobowe szepty. Kilka odważniejszych postanawia podслуchać za wszelką cenę. Klasa namawia je do tego czynu, patrzy na nie jak na bohaterki i śle za nimi modlitwę do św. Terenii, aby zesłała pomoc i opiekowała się nimi cały czas. Czekają odpowiedniej chwili i z zaparciem się szukają do czynu.

— „Gdyby nas tak złapali” — mówi jedna.

— „Ech! Zaprzętasz sobie głowę takimi myślami! Porzuć to. Za chwilę usłyszymy, co o nas mówić będą i słowa Ks. Kanonika, który pochwali każdą i nie da jej krzywdy zrobić”. — Klasa mówi Zdrowaśkę i zamyka drzwi za odchodzącymi.

Na sali rekreacyjnej snuje się kilka uczniów z różnych kursów i udziela sobie piorunujących wiadomości. Rozmowa cichnie pod surowym spojrzeniem p. Dyrektorki z za drzwi przedpokoju. Jeżeli bohaterki nie spotka tragiczny koniec, to wówczas po sesji... klasa wita je radośnie, a one oblegane przez koleżanki, udzielają niespodziewanych wiadomości.

Podniecone bohaterki zaspokajają każdej ciekawość, mówiąc trochę prawdy, a trochę zmyślając.

Ochłonęłyśmy. Już po sesji.

Teraz pragniemy powetować cały kwartał! Stopnie wystawione, a więc powoli wszystkie „pergaminy, regulaminy”, bardzo nieznacznie zostają przez nas usuwane, zaczynamy się od nich odzwyczajać. Przed pacierzem rannym, jak można, tak się rozmawia, ale stosunkowo mało. Po pacierzu wieczornym jest trochę głośniejsze, humory doskonale sprzyjają i nasuwają zabawę do głowy.

Przy odrabianiu lekcji siedzimy w klasie, a rozmowom niema końca. Książki w spoczynku, nauka w kącie... Czekamy kolacji, a potem czas wolny! A wtedy mkniemy w aleje ogrodu i tam gwarzymy...

Na lekcjach, gdy się udaje, następuje wykończanie zaczętych robótek. Pilnuje się każda dobrze, a jak się zamyśli i usłyszy słowa: „proszę schować robótki!” — wpycha wszystko pod ławkę i na chwilę uważa. Potem następuje to samo, bo robótkę jednak trzeba wykończyć.

Układamy też często wiersze.

Dokazujemy ze zdwojonym humorem, wiedząc, że stopni nam już nic nie zmieni, a pani wychowawczyni, znająca dobrze naszą psychologię, przestaje nas męczyć regulaminem. Obliczyliśmy już godziny, dzielące nas od odjazdu i czekamy go z utęsknieniem.

Wreszcie nadchodzi chwila rozdawania cenzurek. Po krótkiej przemowie Ks. Kanonika zostają wręczane nam cenzurki. Pomiedzy uczenicami wtedy robi się chaos. Jedne zadowolone ze stopni, cieszą się, śmieją, pokazują swoje cenzurki paniom, a inne ze łzami w oczach stoją pod ścianami, patrząc smutnie na koleżanki. Na obiedzie pusto, połowy uczniów niema, smutne i zmartwione swoimi stopniami siedzą po sypialniach.

Po wszelkim gniewie, jaki wywołały cenzurki, nadchodzi przedświąteczna spowiedź, która skupia nas na chwilę, jednak nie tamuje wesołości.

Chodzimy do pań przepraszać je, a ile przytem śmiechu! W klasie przepraszamy się ustalonym systemem, który polega na słowach: — „koleżanki, która się gniewa na mnie, to niech mnie przeprosi!” —

Po spowiedzi — dobre, ciche, zadowolone, wolne od lekcji, czekamy chwili odjazdu.

Wszędzie gwarno, wesoło, słychać zewsząd okrzyki: — pamiętaj napisz! nie zapomnij! — Podwórko, pełne bryczek, samochodów, to zajeżdżających, to uwożących już dziewczynki z murów szkolnych do domów, wygląda jak ulica bardzo dużego ruchliwego miasta. Zewsząd słychać nawoływania, kiwania, a wreszcie głośnie uściski. A my, uwożone do domów, spoglądamy na mury kochanej naszej szkoły i oddalamy się, śląc jej ostatnie spojrzenia i okrzyki: — Żegnaj! —

Błogosławione pierwsze dni wiosny, Błogosławionyś wieku radości!

(N. Żmichowska).

Wiosna przybywa i czaruje sobą cały świat. Na widok budzącego i rozwijającego się życia w całej przyrodzie, nasuwa mi się mimowoli porównanie — młodości do wiosny.

Ten okres życia, podczas którego człowiek się rozwija, poznaje nowe rzeczy, bada zjawiska, poznaje otoczenie, życie i świat cały — to jeden wielki rozpęd, gdzie niema czasu na smutki, długie przeżywanie zmartwień i zgłębianie niedoli. Nie znaczy to, aby serca młodzieży nie miały szlachetności i wyższych uczuć, nie! Jeno ta siła młodości pcha je stale naprzód, a jest tak wielka, iż zdaje się, że świat zawojuje. I młodzież dąży w życie, a po drodze wchłania wszystko i szczęśliwa, jeśli na drodze swej spotyka dobry przykład i kochające serca, co wskazują prawą drogę. Werwy i radości w niej tyle, ile w nadchodzącej wiosnie i szczerze ona kocha i szczerze umie działać i współczuć i szczerze nawet płakać. Dalekie od młodzieży zubożenie i krańcowa rozpacz. Dąży ku życiu ufna, śmiała, bogata w nadzieje, w marzenia, które pozwalają widzieć w wyobraźni bohaterskie czyny, wielkie poświęcenia i jakieś szczęście wielkie, które czeka po trudach i zwycięstwach. I biegnie się w życie z zapałym oddechem, czeka z nieukrywaną tęsknotą i pragnieniem czegoś, co ma nastąpić... A po tej biednej głowie ileż przesuwa się myśli i planów, które, wprowadzone w życie, muszą chyba cuda tworzyć. Duma jakaś i poczucie czegoś ważnego rozpięta piersi. Na nas patrzą oczy społeczeństwa z nadzieją i wyczekiwaniem lepszej doli, od nas tysiące dzieci czeka oświaty, która ma im życie ułatwić i do Boga zaprowadzić. I płyną lata w szkole w otoczeniu koleżanek, które siostrami się stają i nauczycielek — wy-

chowawczyń, które w pracy dla nas dusze swe oddają. W sercach młodej rodu się podwójna wdzięczność, bo i za pracę i za przykład dobry, który świeci nam i świecić będzie jak gwiazda przewodnia.

Cel wzniosły, dług wielki, a pracy moc, więc naprzód w życie, bo wielki już czas!

Słonko wiosenne znoje pracą chyli się ku zachodowi. Piękno rozświetlonego wokoło życia pobudza moją wyobraźnię. I zdaje mi się, że stoję na placówce. Ręce, już tak dawno rwące się do czynu, pracują ciężko i żmudnie. W sercu jakieś wielkie zmiany. Biegłam w życiu do ludzi z otwartym sercem, pragnąc wszystkich uszczęśliwić. Przyjęto mnie chłodno, obojętnie. Wzdrygnęłam się. Coś z zawodu przesunęło się po moim czole, a w sercu wyrzut: — Tak mię przyjmujecie, dlaczego nie chcecie wiedzieć, co dla was niosę?

Obejmuje mię cisza, a w niej dosłuchuję się: — „Życie to nie sen złoty, ani gromy oklasków — jedno praca żmudna ciężka, twarda i czasami łzawa. Nie czekaj na czyny bohaterskie i wielkie poświęcenia, bo te mogą nie nadejść nigdy, ale tkaj z codziennych okazji i trudów wieniec, co ozdobi skroń twoją.”

Rozważam treść słów tych, które wpadały mi do uszu często, kiedy byłam w szkole. Przemawiają do mnie przekonująco, wsluchuję się w nie, a silna i piękna młodość snuje mi się przed oczyma, usta szepczą ze wzruszeniem: „Błogosławione pierwsze dni wiosny, które wzbudza we mnie pamięć dni szczęśliwych i jasnych! Błogosławiony, wieku radostny, coś mię wzbogacił i uposażył w silną wolę, dobre serce i silne zasady, które nie pozwolą, abym była chorągiewką w życiu. Dzięki tobie nie tamię się dzisiaj pod brzemieniem smutków i zawodów, jeno idę ku Bogu mojemu, który w najtrudniejszym życiu i najcięższych cierpieniach pozwoli mi odnaleźć prawdę i dobro, piękno i miłość.”

Lodzia IV kurs.



Do mego Anioła.

Z szeleszczącymi, srebrnymi skrzydłami
Cichy i jasny wciąż Ty za mną płyniesz,
Słodkiej modlitwy na ustach słowami
Szepczesz wśród pokus: — nie zginiesz, nie zginiesz!
Prawda, że czasem nikną wizję Twoją
Mgła zwątpień skryje przed oczyma memi...
O, drżysz Ty wtedy o duszyczkę moją
I bardzo smutny chodzisz tu po ziemi.

W chwilach, gdy klęczę i modłę się w skrusze,

Tuż stoisz za mną cichy i skrzydlaty,

Kładziesz słoneczny i jasny na duszę

Swoj cudny uśmiech, bogaty jak kwiaty.

O, jak mi dobrze jest wtedy, Aniele,

Gdy balsam czerpię z Twojej wizji słodkiej,

Mą jasną duszę ogarnia wesele

Trudno wzrok odjąć od postaci wiotkiej.

Ty nad mą głową spletasz lekkie skrzydła

I dłoń swą świętą kładziesz na ramieniu...

Zdała ode mnie czarty i mamidła!

Dusza ma tonie w słodkim, błogim drzeniu.

I chcę tak zostać, chcę zostać na wieki,

I nic nie słyszeć, ja — pyłek wszak lichy...

I chcę w tem szczęściu przymknąć swe powieki,

Chcę stąd ulecieć w kraj jasny i cichy...

„Biruta”.



„Bajka o królownie wiosnie.”

W zaklętym zamku „marzeniem” zwanym, od kryształowych kolumn z których rozsypują się tęcze refleksy, od fresków marmurowych, jak pionki lekko powycinanych ze strzelistych koronkowych wieżyczek płynie spokój i cisza. Gdy spojrzeć z zamku na ziemię — widać jeno puchy śniegu i biel iskrzącej mroźnej zimy. Cicho na świecie i biało, jakby zamarało wszelkie życie.

Królowna wiosna śpi głęboko.

Szafirowe oczy, osłonięte frendlami czarnych rzęs, prześliczne, słodko złożone, ponsowe, jak pąk róży usta wiosenki tworzą na prześlicznej twarzyczce, okolonej falami popielatych jedwabistych loków wyraz głębokiego uspienia. A na dole, na świecie, ludzie patrzą z tęsknotą w stronę, skąd Ona ma przyjść i wzdychają: „Wiosenko — kiedyż do nas zawitasz, kiedy opromienisz świat swym radosnym uśmiechem? Pod panowaniem zimy skostniały nam nawet serca, a Ty ciągle, ciągle śpisz”...

Przez jasne szyby „marzenia” wpadły cichem brzęczeniem skargi ludzi, a potężniały one i rosły z każdą godziną. Poruszyła się niespokojnie śpiąca królowna — bajka, a gdy nie cichły, ale wzmagaly się westchnienia ludzi, wiosna zatrzepotała czarnymi rzęsami, odetchnęła głębiej i po długim śnie zimowym szafirowe oczy, zbudzone skargami z ziemi, znów spojrzęły naokoło siebie po bajkowych ścianach zamku. Otrząsnęła się ze snu królowna, pobiegła drobną stopką po marmurowych schodach na taras zamkowy i, przechyliwszy się przez koronkową balustradę, spojrzęła radośnie na świat. A na świecie chłód, ostry deszcz siecze twarze ludzkie opoblądle z tęsknoty za wiosną. Zamroczył smutek liljową twarzyczkę królowny...

— Tak smutno na świecie... tak źle. Czyż to możliwe? Nie... nie może być tak źle na ziemi. Pójdę z mego kryształowego pałacu tam, na dół, do

nich; niech się cały świat rozraduje, rozzłoci, uśmiechnie. Niech zapanuje życie i młodość!

I znów spojrzała radosnym wzrokiem na niebo lazurowe, z którego uciekały ostatnie, szaro-mętne płachty zimowych chmur, na słońce, które zasypało ją całą złotą falą światła i budziło jasne iskiereki w modrych oczach, na wiatr, rozwiewający jej popielate jedwabiste włosy.

Postanowienie dojrzało. Miłość do ziemi, chęć czynienia dobrze wzięły górę nad obawą i pustotą i oto królewna bajka, ze słońcem miłości w sercu, zaczęła spływać po świetlanej smudze na ziemię. Nie żał jej było bajecznego zamku marzeń, nie oglądała się za jego lekkimi krużgankami i strzelistymi wieżyczkami. Ona szła na szarą ziemię, by innym opromienić życie. Naprawdę starała się wmówić w nią, że jest za słabą na urzeczywistnienie celu — nic jej nie zrażało. I chociaż z początku zima ciągle jeszcze wracała do dawnego panowania i chociaż zły mróz niszczył jej wysiłki — ona nie odstąpiła od zamierzonej drogi. Przyszła na ziemię słodka, rzeźwa, młoda, wyciężyła mrok, zimę i opromieniła miłością swą — świat cały. Pod stopami jej wykwiły lilijowe fiołki, otwierały oczy zbudzone stokrocie, a na brzegach lasów miękkie bazy leśzczyny, całowane wiosennym słońcem, sypały na świat złoty pył swój i kołysały się na swych gładkich gałązkach. Wokoło wszystko pieło się do życia. Tryskaly świeże pędy drzew, traw, kwiatów. Cudnie było.

Ale królewna ciągle szła po świetle, ciało czegoś pragnęła i nieraz, paląc się na zachodzie purpurowymi tunami — światy rozpalaly złote iskiereki w brylantowych łzach, które, przesypawszy się przez białe paluszki bajki, zatrzymywały na popielatych lokach i drżały na nich diamentową rosą, w której gasły ostatnie błyski zachodu. Ale otrząsała się królewna ze smutku i znów uśmiechała się do kwiecia, do słonka, do ludzi...

Nad strumieniem cicho szumiącym między puszystymi aksamitami mchów, w mrocznych głębiach lasu pod stuletnimi dębami i modrzewiami wykwiły lilijowe główki przyłasczek, tulily się pod krzewami białe zawilce i tryskały złociste pęki pierwiosnków. Czasem kos zagwizdał przeciągle, czasem błysnął szafirowo-zielony — zimorodek, nad brzegiem strumyka cisza. Królewna wiosna wszędzie zawitała. Pod jej tchnieniem las cały z młodzieńczą siłą pracował. Krasne zięby przekornie ćwierkając, budowały gniazdzka, a gdzieś w głębiach Boh-Boru mysikrólik „czyk — czyk” wołając, szuka swej ptaszki.

Na łąkach kaczenie uśmiechają się złotymi oczami do pierwszych motyli, które bujają nad wiosenką, wonną fiołkami, narcyzami, i świeżością młodości, która jednak ciągle czegoś pragnęła. Nie znalazła tego na łąkach, w lasach, w woni kwiatów, ni w śpiewie ptaków...

Zajrzała królewna błękitnymi oczyma pod strzechy wiejskie do serc jasnowłosych pacholąt, które jednak głęboko leżały uśpione w piersiach dziecięcych, nie wiedząc nawet o swej wartości.

Spojrzała na starców, których dusze dawno zatraciły wiosenną świeżość, a w sercu mieli tylko suche nasiona... Więc szła królewna bajka po świetle z tęsknicą w duszy, z pragnieniem beznamiętnym. Naprawdę różowe stokrocie uśmiechały się do niej, naprawdę wietrzyk wygrywał na młodych gałązkach brzołek najpiękniejsze szumki. Wszystko naprawdę...

Aż zajrzała wiosenka szafirowymi, przepojonemi słońcem miłości i ogniem tęsknoty oczami w serca i główki młodzieży, pochylonej nad książką, zmęczonej żmudną pracą.

I zapagnęła przelać w nie radość życia, tchnąć zapal do szczytnych celów, ideałów i wyteżonej pracy.

Oto serca młodzieńcze w pak stulone, pod wpływem słodkich oczu wiosny — zakwitły w bezcenny czarodziejski kwiat zapalu, który królewna wiosna ozłociła słońcem miłości i szczęścia, wiosennej świeżości i pragnieniem czynienia dobrze. I patrzyła niema na ten zakwitły najpiękniejszy na ziemi, nie wiedzący, przedziwny kwiat młodości, bo młodość to kwiat, to wiosna, to słońce życia.

Wacka.

Przejażdżka na zaczarowanym dywanie.

Spoczywałam na nim w pół — śnie, ale poprzez przymknięte powieki widziałam, co się wokół mnie działo. Siedziałam na kobiercu miękkim, puszystym, grającym różnobarwnością kolorów. Nade mną szumiał nasz polski las... Jasno-zielone mchy tulily się do ziemi, staruchy sosny, gawędziły z sobą zcicha. Bajaly o swej przeszłości, czy groźną przyszłość przepowiadały? — Kto je odgadnie?... Czulałam wyraźnie w powietrzu woń żywiczną... od której myśl moja kołowała się bezustannie, wracając zpowrotem w to samo miejsce. Było mi jakoś dziwnie błogo... dobrze. Dusza, pełna była ukojenia i spokoju... Czulałam, że nie jestem sama... Słuchem łowiłam głosy, dochodzące z różnych części boru, w którym przebywałam. Nagle tuż przede mną usłyszałam piskliwy głosik, zda się tuż, obok... Otworzyłam powoli, z trudem oczy i ujrzałam — człowieka... Tak, był to człowiek — tylko tak maleńki, że można go było wziąć za szyszkę, których tu moc spoczywała na ziemi i mchu. Ubrany był w barwny kostiumik i małeńką, malinową czapeczkę...

Wygramoliwszy się nieco bliżej, zdjął swoją śpiczastą czapkę i ukloniwszy się nisko, odezwał się w te słowa: „o pani, wielka i potężna, która pragniesz zgłębić tajemnice świata, racz wysłuchać, co ci oznajmi giermek naszego miłościwego króla, który mnie wysłał dla zbadania Twych myśli, o Wielka!” Parsknęłam śmiechem, ale wnet zapanowałam nad sobą. Liliputowi zdawało się, że tem mój śmiech, to oznaka zadowolenia i pokłonił się drugi raz, aż nosem uderzył o dywan, a skłoniwszy się tak, ciągnął swą przemowę: „Jeden z mych braci, o Wielka, dowiedział się, że pragniesz zwiedzić — to, czegoś nigdy zwiedzić nie mogła bez naszej pomocy. Spójrz na kobierzec, na którym spoczywa twa wspaniała postać, — on cię zaniesie tam, gdzie myśl Twoja spragniona tajemnic, pobiegnie.” „Ach! — pomyślałam, — gdyby tak można było dostać się na sesję nauczycielską i słyszeć to, co wyjdzie z ust pań nauczycielek.” Nagle poczułam, że unoszę się do góry. Jakaś dziwna niemoc ogarnęła mnie... Tak dobrze było płynąć powietrzem... tak rozkosznie czuć się mogą duchy anielskie, gdy ich w błękity skrzydła unoszą. Zamknęłam oczy. Lecz co to? Jestem pod stołem... Siedzę znowu na tym samym dywanie. Naokoło mnie pełno nóg, w różnego rodzaju obuwiu.

Boże! serce mi wali, jak młotem. W chaosie myśli, jedna wyrażenie odbija się od innych: usłyszeć co mówią o mnie! W tej chwili p. Wychowawczyni mówi jakimś dziwnym głosem, „no, teraz I-szy kurs”. Zamknęłam oczy i słucham. Przechodzi nazwisko za nazwiskiem... Nad jednym dłuższa pauza. Zdenerwowane panie — sprzecają się z sobą: „to patentowany próżniak,” odzywa się jedna z pań, „ona się nie uczy,” mówi

druga. „Jak wszyscy, to wszyscy na jednego,” odzywa się ksiądz Kanonik... słucham dalej. Szereg nazwisk, pochwał, upomnień... Z przymkniętymi oczyma słucham. – Lecz nagle – o Boże!!! Chyćwiałam się jedną reką za nos, drugą pchałam sobie słońce w usta, by nie zdradzić się krzykiem bólesci. Oto jedna z pań, w zbytnim zdenerwowaniu wymierzyła mi tak potężny cios nogą, że o mało nie krzyknęłam z bólu. Oprzytomniałam. Tuż nad głową usłyszałam swoje nazwisko. To p. wychowawczyni wyczytała mnie z listy... Serce mi wali jak młotem, zda się, że w dyszącej pierś robi zamach do skoku, aby prosić o zmilowanie nad mą postacią, duszącą się pod stołem. Pot perlisty wystąpił mi na czoło...

Wtem w uszach zadźwięczał przeraźliwie głos dzwonka i od drzwi zabrzmiało codzienne, donośne „niech będzie pochwalony,” p. Wychowawczyni. Piękny sen — niema co, myślę sobie, i podnoszę z poduszki, swą rozczochraną głowę...

Zośka, kurs I.



Wiosenny promyk słońca na sali szpitalnej.

Wyciągnięty długi łańcuch białych łóżek szpitalnych. Cisza... Tylko od czasu do czasu gdzieś z pod szarego koca szpitalnego wybiegnie cichy, bolesny jęk, i ginie... to znów ktoś z niecierpliwszych krzykiem rozpacznym, bolesnym rozpruje ciszę i znów głuchło... Czasem, mucha zbudzona zabrzeczy... i cicho... i znów jęk... i znów krzyk, krótki i potem cisza, głucha cisza szpitalna.

Za oknami widać niebo zamglone, chmurne. Naraz tam, hen, z góry rozsuwa się mgława chmura — i przeciska się złocisty promyczek wiosenny. Zadrgało powietrze śmiechem szczęścia, zaszumiło lekkim wiatkiem... promyczek wiosenny!

Już spłynął z wyżyn i na chwilę przystanął w przestrzeni, myślał... kogo dziś uczynić szczęśliwym?...

...A tu na ziemi stały ciche okna szpitalne. Dojrzał je promyk...

I zamigotała sala jasnością!...

Z zbladłych ust, spalonych gorączką i bólem, wyrывa się cichy szept: —

— Słońce, już wiosna...

Pochylają się schorzone wargi w uśmiechu szczęśliwym. Kto zdrowszy, wyciąga ręce, chwytą w wyzółkle dłonie światło i ciepło promyka.

A promyk drga radością, ślizga się po twarzach znędzniatych, zagląda w oczy zmęczone, roznosi szczęście!

Wkoło rozlega się szepot radosny, coraz gwałtowniej. Płyną urywane słowa wspomnień miłych... i nastaje chwila zapomnienia bólu, łez, meczarni. Nie słychać już bolesnych jęków, ni krzyków — jasny promyk wiosny wystarczyć, aby zszczęśliwić tych chorych, zgnębionych.

Ach, ileż dni czekali oni tego zbawiennego słońca! — i nareszcie przybył pierwszy jego zwiastun, a za nim płynęły inne i inne... i coraz bardziej znikał ból z wybladłych lic...

O, słońce, ileż masz w sobie mocy ileż siły, a ile zarazem piękna,
uroku... czaru —

(Ola).



Siedzę w pokoju. Łagodne światło lampy rzuca blask na sprzęty, na kwiaty, sennie schylone przy oknie, a bliżej mnie na etażerkę, na której śmieją się do mnie zachęcająco barwne grzbieciki i złoczone litery mych książek. Po lekcjach, gdy strudzona głowa ma dość już postępów algebraicznych, redukcji chromozomów w komórkach, zasad termodynamiki galwanoskopów, i „grammaire française”, wyciągam rękę do moich przyjaciółek i z niemi idę w krainę wyobraźni. Ile wy macie zalet, za które tak was lubię... Mimowoli wzrok pada na literki „Prus”. Ach, to przecież jeden z moich ulubionych autorów. Ma on te zalety, które książka mieć powinna, aby być wartościową. Przedwzyskaniem bohaterowie są świetnie ujęci pod względem psychicznym. Ich nastroje, ich radości i smutki, ich ból i walki duchowe są oddane niezrównanie; w ich przeżyciach odnajduje swoje.

Alie żeby książka była cenna, musi dać mi choć jedną dobrą myśl, dać mi coś, co byłoby jeszcze jedną cegielką do budowy silnych fundamentów charakteru. Gdy czytam w „Emancypantkach” dzieje Madzi, budzi się we mnie jakaś podświadoma chęć, jakieś nieokreślone pragnienie którego nie można opisać, a da się sformułować tylko w słowach: „chcę być choć troszkę lepszą i podobną do niej.” Mam przed oczami dzieje dziewczynki, którą pierwszy raz spotykam w szkole, jako zwykłą pospolicą „pensjonarkę — gaskę” i która przez cierpienia, walki i burze życiowe przechodzi z nieskalanym kryształowym charakterem, i opuszczam ją, jako kobietę dojrzałą — prawą, rozumną i jaśniejącą słodczą siew duszy. W książce tej ujęte jedynie, zdrowo, ideały życiowe, wcielone w czyn zmuszają mnie do zastanowienia się nad nimi i do wniosku, że jednak piękno w życiu ludzkim tkwi w prawości charakteru. Ideały filozofa — pisarza przenikają do duszy i pogłębiają zasady i charakter. Obok *prawdy* w książce, żeby podobała mi się, musi być *piękno*. Pod tym względem poezja i dobry styl gra pierwszorzędą rolę. Jako taki niezrównany jest „Pan Tadeusz.” Spokój i szczęście rozlewa się tam słodką, falującą melodią w odcieniach złotych, lila i błękitnych i gra jakimś niewysłowionem pięknem.

„Co skrzydełka ma motyle,
Znika z brzaskiem zór”

„Pan Tadeusz” ma również przesłaniczą barwną krasę polskiej wsi, która zachwyca zdrowiem, prostotą i przedziwnym pięknem. Tu jest cudnie oddany w stylu sielankowym urok polskiego dworku i pól litewskich, „połączanych pszenicą, posrebrzanych żytem”. Dlatego „P. T.” czytać można parę razy i nigdy on nie traci swego piękna. Poza takimi spokojnymi, przedstawiającymi „sielskie” życie, — utworami, bardzo lubię książki o stylu żywiołowym, gdzie piękno jest jakieś groźne i wzburzone. Tu już na pierwsze miejsce wysuwa się „Improwizacja” w III cz. Dziadów. Jakies dzikie gorące pragnienie, burzące się w duszy warem żądz, zrywają w duszy krzyk, ostry, gwałtowny, bez słów i upamiętania. I autor porywa swym genjuszem w krainy, gdzie zwykły śmiertelnik przebywa rzadko i gdzie:

„Domyśla się, że są słońca
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy”...

Z książek, które nie są już utworami genjuszów i które nie mogą się nawet z nimi porównać, dosyć podoba mi się „Iwona”, a właściwie imponuje mi jakaś twarda moc, z jaką oparła się dziecinna i słodka dziewczyna — cudnemu, ale złemu demonowi — uwielbiającemu ją Gabrjelowi. Ma ona prócz tej miękkości kobiecej, którą tak lubię, i hart ducha, czyniący ją bohaterką. Poza tym z nowoczesnych autorów podoba mi się Weysenhoff, w którego „Puszczy” przesłanicznie jest oddana litewska przyroda. Ale jednakże największą wartość mają dla mnie dawni pisarze, gdyż oni wszystkim swoim dziełom dają podkład filozoficzny i dlatego na mojej półce błyskają barwnymi okładkami i złoconymi literkami ulubieni: „staruszkowie” i ich „Pan Tadeusz”, „Dziady”, „Trylogia”, „Quo Vadis”, „Emancypantki”, i t.d.

W. E. (IV kura).



„Przez Czerwone „Wirchy” do Doliny Kościeliskiej.”

W poniedziałek tj. 21-go czerwca wstałyśmy bardzo rano, bo o piątej, ubierałyśmy się z wielkim pośpiechem, gdyż, o radości, miałyśmy iść na szczytową wycieczkę: Czerwone Wirchy. Panna Grzymkowska troskliwie okiem dopatrywała, aby każda z uczestniczek wycieczki ubrała się odpowiednio, chodziło przeważnie o wygodne buty i sweter, boć to przecież góry, gdzie temperatura dużo różni się od temperatury na równinach.

Następnie rozdzielono prowianty, każdej po równej porcji, aby plecaki były jednakowej wagi. Przygotowania przerwało wejście naszego przewodnika, był nim bardzo sympatyczny góral, — Józek Wawrytko.

Do tych wspaniałych gór natura przystosowała ludzi tamtejszych, a oni przystosowali swoje piękne stroje.

Wawrytko ubrany był po góralsku tj. miał sukienną białą gunię, takżej portki z pięknymi parzenicami, czarny kapelusz z piórkiem, skórzaną torbę przez plecy i ciupagę w rękę.

Widząc, z jakim zaciekawieniem patrzymy na niego, przywitał nas takiemi słowami: „Jakoż wyspały się panny?” Odpowiedziałyśmy mu, no i naturalnie zaczynamy rozmowę, ale panna Grzymkowska donośnym głosem mówi: „Dziewczynki, wymarsz.” Prędiutko wzięłyśmy plecaki i w jednej sekundzie znalazłyśmy się przed naszym schroniskiem. Tam od razu stanęłyśmy pięknie w czwórki i ostrym marszem ruszyłyśmy przez Zakopane w stronę Kuźnic. W pierwszej czwórce szedł nasz miły przewodnik, w ostatniej p. Grzymkowska. Nie chwaląc się, szłyśmy bardzo ładnie, w nogę miarowym krokiem, chociaż od czasu do czasu dał się słyszeć głos p. Grzymkowskiej: „Kryj, równaj,” ale mimo to, a raczej dzięki temu szłyśmy, jak dobrze wymusztrowane wojsko.

To też bardzo prędko i bez zmęczenia przeszłyśmy dwa kilometry szosą, od Zakopanego do Kuźnic (po drodze widziałyśmy papiernię).

Wreszcie skrzyliśmy na prawo w regle, które prowadziła kamienista droga i zaczęłyśmy podnosić się w górę.

Wąskie modne spódniczki bardzo nam przeszkadzały, więc zdjęłyśmy je i dalej szłyśmy w szarawarach. Przewodnik nasz był to człowiek bardzo wesół i dowcipny, więc, gdy nas zobaczył w szarawarach, stanął i powiedział, że to jakiś cud, bo z Zakopanego wyszedł z panienkami, a za Kuźnicami z panienek zrobili się chłopcy.

Widząc, że zakupujemy w ziemi każdy napotkany papier, skórkę z pomarańczy i t. p. rzeczy, zaczął z nami rozmawiać o ochronie przyrody i zabronił nam wrywać dęby z korzeniami oraz zabijać niemi niedźwiedzie.

Tą drogą leśną wyszłyśmy na Kalatówki, gdzie zobaczyłyśmy parę rozrzuconych szałasów, wdali zaś na zboczach gór pomiędzy ciemno—zielonymi dywanami kosówki, poruszał się szaro biały płat, były to owce.

Z tej doliny ujrzalyśmy we mgłę bardzo niewyraźnie szczyty, jakie górowały, a mianowicie: Nosal i Kasprowe Turnie. Tu serca nasze zaczęły bić przyspieszonym tempem, dusze poczuły wielką radość, Boże! wszak to piękne wymarzone Tatry!

Odpoczęłyśmy chwileczkę i ruszyłyśmy dalej naturalnie gęsiego, nie wolno się było wysunąć ani na krok, bo zaraz usłyszało się: „Janka, kryj!” Każda z nas wiedziała, że trzeba kryć i wogóle słuchać się, boć wycieczka w góry to nie żarty.

Ale ileż precudnych widoków przesuwało się przed naszymi oczyma, ileż pokus nęciło swoim pięknem. Trudno, czasem musiał człowiek na chwileczkę chociaż przestać kryć i zapatrzyć się w dal, bo tam ulatywała dusza.

W drodze do Kondratowej Hali widzieliśmy wywierzyisko potoku górskiego Bystrej. Wywierzyisko jest to to, co my nazywamy źródłem, tylko wywierzyisko od źródła różni się tem, że jest znacznie obfitsze. —

Wspinaliśmy się coraz wyżej i wyżej. Widoków rozległych nie było widać, gdyż wszystko zakrywały szare, ciężkie płachty mgieł, ale mimo to, urok tych ślicznych gór czuliśmy i w tym małym kręgu wolnym od mgieł, boć szliśmy reglami, więc od czasu do czasu napotkało się urwiste strome zbocze, a wdali widać było wspaniałe ciemne dywany kosówki. Mgły zasłaniały coraz bardziej nawet bliskie widoki, wreszcie zaczął mżyć drobny deszcz, posmutniałyśmy wszystkie, boć to straszna przeszkoda dla wycieczki.

Wtem któraś powiada do idącej przed nią: zmwów „Zdrowaś” do św. Tereni i podaj dalej, aby wszystkie zmwówiły, to św. Terenia wyprosi nam pogodę. Popłynęła modlitwa z kilkunastu serc, poprzez te leniwe ciężkie mgły, w niebo — o pogodę.

Szliśmy coraz dalej i dalej, drobny deszcz zmienił się w gęsty kapuśniaczek, a później w zupełny deszcz. Łagodne zbocze doprowadziło nas w dolinę Kondratową, tam ujrzałyśmy kilka górskich szałasów i do jednego z nich weszliśmy. Zobaczyłyśmy prawdziwy górski szałas, nie na obrazku, nie w pieśni, ale naprawdę rzeczywisty szałas.

Otóż szałas dzieli się na dwie części. W pierwszej części zobaczyłyśmy ognisko, zajmujące $\frac{1}{3}$ a nawet więcej części pierwszej, było ono w zagłębieniu. Obok ogniska spało dwóch juhasów. Jeden młody, zdrowy, czerstwy a drugi otyły, stary, siwy. Ten stary juhas, jak sam o tem mówił, był już 25 lat juhasem, — to prawdziwe dziecko tych przepięknych Tatr. Pod ścianą siedział baca, który bacą był już 20 lat. Dalej stało kilka beczek, naplnionych mlekiem owczym i żętycą. U pułapu wisały rzeźbione czepaki i „jadwigi.” W drugiej części leżało kilkanaście olbrzymich owczych serów. Jeden taki ser waży pud albo i więcej.

Baca opowiadał nam, co oni jedzą przez kilka miesięcy pobytu w szałasie. Otóż trzy razy na dzień dostają po kawałku sera, napiją się żętycy i to wszystko. Chleb jedzą tylko wtedy, jak da im jakiś turysta, a mimo to są oni zdrowi, czerstwi i nadzwyczaj zwinni.

Takich ludzi mogą wychować tylko góry. Deszcz trochę ustał, otucha wstąpiła w serca, idziemy przez halę Kondracką, wreszcie zaczynamy się wspinać na przełęcz Kondracką. Wszystko otulone morzem mgieł. Gdzie niegdzie tylko przerwie się olbrzymia szara płachta i ukaże się nagi szczyt ale zaraz zasłoni go druga, jakby te mgły nie chciały nam pokazać tego, co chowają.

Oczarowane tem morzem mgieł (boć jest to zjawisko wspaniałe) wspinamy się wąską, krętą ścieżyną wyżej i wyżej. Odpoczywałyśmy co kilka minut, bo serca były przyspieszonym tętnem i oddech zapierało. Po pewnym czasie napotkaliśmy płat śniegu, 21-go czerwca u nas w Polsce śnieg! Pobiegałyśmy po tym śniegu, aby nacieszyć się jego widokiem, a kilka

z nas zaczęło jeść ten zimny pyszny śnieżek. Wtem dał się słyszeć głos p. Ziuty: „Dziewczynki, proszę nie jeść śniegu, jesteście zmęczone.” Ale zakazany owoc smaczniejszy, więc różnie tam było z tym śniegiem.

Po parominutowym odpoczynku ruszyłyśmy dalej, znów droga w górę i w górę. Deszcz ustał zupełnie, mgły zaczęły się rozsuwać. Coraz to jedna drugą traci: „Obejrzyj się” i nic więcej, bo trudno było mówić, majestat gór nakazywał ciszę. Z za rozsuniętych mgieł wysuwały się przepiękne widoki, całe zbocza pokryte kosówką, a wyżej nagie szczyty, srebrzące się w słońcu od śniegu.

Droga coraz stawała się uciążliwszą, męczyłyśmy się bardzo, ale zmęczenia tego nie czułyśmy, bo dusze wypełnione były szczęściem, podziwem i zachwytem.

Minęłyśmy pas regli, a teraz znalazłyśmy się w krainie kosówki. Mgły ustąpiły prawie zupełnie i nareszcie to oczekiwane słońce wytoczyło się na piękne szafirowe niebo. Jeszcze kilka krótkich odpoczynków i znalazłyśmy się na przełęczy Kondrackiej. Tu usiadłyśmy, aby odpocząć i posilić się trochę. Wtem jedna z dziewczynek krzyknęła „O Boże!” i wskazała ręką dolinę Cichą, z której mgły ustąpiły już zupełnie.

I już nikt nie wypowiedział ani słowa, bo słowa, bo wymiana myśli zakłócałyby ten wielki zachwyt, jaki każda czuła w duszy. Wtedy dopiero naprawdę ujrzałyśmy prawdziwe cudne Tatry. Dolina Cicha to coś tak wspaniałego, że na opisanie tego piękna i uroku niema słów w ludzkim języku. I naprawdę szkoda słowami psuć tego piękna, jakie tam się znajduje. Żadne opisy, nawet wielkich poetów i miłośników Tatr nie przemówią do duszy w setnej części tak, jak przemawiają same prześliczne, nasze kochane góry.

Mgły odsłoniły nie tylko Cichą Dolinę, ale ustąpiły także z najpotężniejszych szczytów tatrzańskich. Wdali ujrzałyśmy: Garluch, Świnicę, Krywań, Szałas i inne przepiękne i majestatyczne strażnice Polski, kapiące się w blaskach słońca.

Było nas uczestniczek wycieczki przeszło 20, a taka panowała cisza, że słyhać było bicie serc i przyspieszone tamowane oddechy. Wtedy każda z nas przeżywała chwile w życiu jakiegoś nieopisanego szczęścia i uwielbienia. Czas nie pozwolił zostać dłużej na przełęczy Kondrackiej, więc ruszyłyśmy dalej i coraz nowe widoki rozciągały się przed naszymi oczyma, bo w Tatrach co krok to inny obraz, każdy metr wzniesienia się w górę przysparzał tych widoków bardzo dużo. Niby na ten sam szczyt się patrzy, ale co krok to on inaczej oświetlony inne przybiera kształty i inne robi wrażenie.

Od przełęczy Kondrackiej szłyśmy granicą polsko-czecho-słowacką. Po naszej stronie góry spowite były jeszcze we mgły, czecho-słowacka strona kąpała się w promieniach słońca, wolna zupełnie od mgieł.

21-y czerwiec, u nas na równinach lato w całej pełni, przekwitły już bzy, a tu w górach dopiero pierwiosny, kwitną pierwiosnki, fiołki, goryczki

urdziki i inne. W górach nie widzieliśmy ani jednego motyla, wogóle owadów jest tam bardzo mało, gdzieś tam przemknęła po głazie mała szczypanka, albo mizerny pajęczek i to prawie wszystko co dało się zauważyć ze światła owadziego. Wreszcie doszliśmy do przełęczy Tomanowej i teraz zaczęła się prawdziwa przeprawa szczytowa.

Spojrzawszy na prawo, zobaczyliśmy bezdenną przepaść, groza śmierci stanęła nam przed oczyma i już więcej nie patrzyliśmy w tamtą stronę.

Po bardzo stromych zboczach schodziliśmy na czworakach, wreszcie jak kto mógł, bo droga była bardzo niebezpieczna. Wtedy każda uważała na to, gdzie postawić nogę, żeby razem z głazem nie zwalić się i dlatego też mniej patrzyliśmy na roztaczające się widoki.

Nastroj minął i cisza minęła, najwięcej na dowcipy zebrało się Boli, pomimo że panna Grzymkowska coraz to prosiła o ciszę. Ale cóż, jak nie można, to się jeszcze więcej śmiać chce, więc mimo wszystko śmiałyśmy się do rozpuku, czasem nie wiadomo było zupełnie z czego. Punkt kulminacyjny naszych humorów był przy zejściu z Rzędów, zbocza bardzo strome.

Kilka z nas zbiegło prędko (za co, mówiąc nawiasem, dostałyśmy od p. Grzymkowskiej bure, bo nie wolno było wyprzedzać przewodnika).

Usiadłyśmy na niewielkim wzgórzu pokrytym kosówką i przyglądałyśmy się reszcie towarzystwa, które schodziło. Jedna uczestniczka wycieczki nie mogła zejść, więc przewodnik ujął ją pod rękę i dalejże na dół mazura, czy krakowiaka, nie można było określić. Wiem tylko, że, patrząc na tę parę, umierałyśmy ze śmiechu. Gdy już wszystkie niedolegi zeszły, odpoczęłyśmy kilkanaście minut, zjadłyśmy spore porcje chleba z szynką i ruszyłyśmy w dalszą drogę doliną Tomanowego Potoku. Tą doliną szłyśmy ze dwa kilometry w wyśmienitych humorach, pełne radości i szczęścia w duszy. Wreszcie skręciliśmy w las, idziemy do Smereczyńskiego Stawu. I znowu w górę, ledwie wlecemy nogi, tu dopiero poczułyśmy zmęczenie, ale to głupstwo, idziemy. Nareszcie w ciemnym lesie świerkowym, ujrzałyśmy niewielki staw, niewielki ale cudny, woda zupełnie ciemna, a w niej odbijają się wspaniałe wysmukłe smrek. Po krótkiej chwili wracamy i wchodzimy w dolinę Kościeliską. Po obu stronach drogi piętrzyły się wspaniałe zupełnie prostopadle turnie. I tu jest tak pięknie, że trudno wzroku oderwać od tych cudów, a coraz słyszy się głosy: „Równaj, kryj!” Jakżeż tu kryć, kiedy te cuda przykuwają oczy nasze do siebie. Jeszcze kilkanaście minut drogi i jesteśmy w wąwozie Krakowie.

Dolina Kościeliska to jedna z najpiękniejszych dolin tatrzańskich, a prawdziwym cudem w niej — to wąwóz Kraków. Jest to bardzo głęboki wąwóz w skale wapiennej, pięknie wyrzeźbionej przez wodę, po dnie którego płynie potok górski.

Pomimo że byliśmy już bardzo zmęczone, to jednak z wielkim zachwytem patrzyliśmy na tę piękną część Tatr. W wąwozie tym znajduje się „Smocza Jama”, do wejścia której trzeba wspiąć się zupełnie pionowo.

zboczem przy pomocy drążków. Weszliśmy, tam ciemno, mokro jak w piekle, jednak przy świecach przeszliśmy kilkadziesiąt kroków, bo jama ta jest niewielka. Z wąwozu wydostałyśmy się na szosę i marszem, ze śpiwem na ustach, z radością w sercu wracaliśmy do Zakopanego. Dnia tego byliśmy 18 godzin w drodze chociaż nogi bolały dobrze, jednak nie czułyśmy tego, bo dusze płonęły szczęściem i radością.

Jak Tatry są piękne, tego nikt nie wypowie; żeby odczuć ich piękno, trzeba je zobaczyć.

NASZA ANKIETA.

1. Co w mem życiu zrobiło na mnie największe wrażenie i w jakim kierunku zwróciło mój sposób widzenia?
2. Jak sobie przedstawiam siebie w przyszłości czyli ideał, do którego dążę?

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ.

X.

„Jak sobie siebie przedstawiam w przyszłości, czyli ideał do którego dążę.”

Gdy mam chwilę wolnego czasu, wówczas mogę dać wolny bieg myślom, które tak szybko następują jak potok górski, jak wiatr halny. Myśl wolna jak ptak buja po przestworzach, stwarzając i budując plany na przyszłość...

Często zastanawiam się nad tem, jaka będzie ze mnie nauczycielka, czy odpowiem zadaniom, jakie są włożone na barki prawdziwej nauczycielki? Nie wiem...

Albo będę czyniła wysiłki, aby być taką, jaką siebie wyobrażam, a więc: pracować nad dziećmi i nie tylko je uczyć, ale i wychowywać, bo szczytniejsza jest nazwa nauczycielki — wychowawczynie. Mam wychowywać w przyszłości ten drobiazg, jaki będzie mi powierzony, na prawdziwych katolików, gorących patriotów, na ludzi o silnym, jasnym i promiennym charakterze — to mój cel, do którego mam dążyć, będąc nauczycielką w przyszłości. Lecz zachodzi pytanie: Czy będę miała na tyle siły i mocy, aby wytrwać na obranym stanowisku?

Słowa, które wypowiedział Słowacki:

„Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec”... dodają mi otuchy.

Wszak ja chcę żyć, żyć dla innych, im się poświęcić całą duszą, chcę nieść wysoko kaganiec oświaty tam, gdzie panują mroki i ciemności... Pragnieniem mojem jest, aby te szare, płowe i ciemne główki dziatwy polskiej mogły do mnie zwracać się z wielkim zaufaniem, chciałabym być dla nich taką ostoją, w której mogłyby znaleźć zawsze dobrą radę i pociechę.

Chciałabym być nauczycielką, która pracuje dla idei, której gwiazdą przewodnią jest wychowanie dzieci na prawdziwych synów ojczyzny, chciałabym pracować na tej niwie z całym oddaniem się siebie, z poświęceniem, żebym kiedyś, kiedyś w przyszłości, z czystym sercem mogła powiedzieć: Wypełniłam swoje zadanie...



KRONIKA.

Dn. 12-II Wieczorem była wyświetlana część II „Boskiej Komedji” — „Czyścić.” Tak samo jak „Piekło” dzieli się on na kilka okręgów, w których znajdują się ludzie, ponoszący odpowiednie męczarnie. Jeden obraz przedstawiał, jak ludzie leniwi i ospali chodzą ciągle w jedną stronę. Wówczas kol. Laurka powiedziała, że od tej pory musimy chodzić na spacer (co jest naszą najgorszą bolączką), nie chcąc w czyścisku ponosić odpowiedniej kary. Gdy skończył się „Czyścić” — to doszliśmy do wniosku, że chyba we wszystkich okręgach pokolei będziemy musieli przebywać.

20-II dzień ten był bardzo urozmaicony; o godz. 5-tej pop. zaczęli zjeżdżać się goście, zaproszeni na przedstawienie pt. „Zagłoba swatem” — urządzone staraniem kol. V kur. i „Zaczarowane skrzypce” urządz. przez kol. III kursu. Dochód przeznaczono na straż w Smogorzowie.

Tegoż dnia, wieczorem przyjechał p. wizytator. Ten przyjazd zwarzył nasze humory, ale nie na długo. P. wizytator był tak dobry, że pozwolił, aby w poniedziałek nie było pierwszej lekcji — co było powitane z naszej strony wesołymi okrzykami.

Dn. 27-II „Tłusty czwartek” był dniem b. wesołym, płałaliśmy „psikusy” pp. naucz. np. na tablicy narysowane były pączki, a każdy z nich miał nazwę zależnie od

przedmiotu: sinusy, cosinusy [„Bobertagi,” „Herbarty” i t. d.

Dn. 19-III Dzień Imienin p. Dyrektorki. Rano byliśmy na Mszy, a w czasie pauzy zebraliśmy się na sali, gdzie jedna z kol. złożyła w naszym imieniu życzenia, następnie były śpiewy i deklamacje po francusku. P. Dyrektorka podziękowała za życzenia i zaczęła nas częstować cukierkami i ciastkami. Jako podarek imieninowy p. Dyrektorka otrzymała od całej szkoły radio.

Wieczorem było przedstawienie p.t. „Zakłęty rycerz”, a w czasie przerw słuchaliśmy koncertów przez radio. Obecnie prawie wszyscy, nie wyłączając pp. nauczycielek, chorujemy na tak zw. „chorobę radjową”, tj. ciągle chcielibyśmy słuchać koncertów, referatów ale nie zawsze jest to możliwym.

Dn. 20-III Wielkie zdenerwowanie z powodu ostatnich dni przed sesją.

Dn. 23-III Pierwszy dzień sesji można poznać po zamykanych szczelnie drzwiach do kancelarii. Dwie „bohaterki X i Y” — poświęciły się „pro publico bono” podsłuchać sesji i weszły do beczki, stojącej w sąsiednim składziku. Niestety... piękny zamiar nie doszedł do skutku, gdyż przedwcześnie zajrzano do beczki...

Dn. 27-III Rozdanie cenzurek. Dzień dla jednych smutny, dla drugich radosny.

 TECZKA DO LISTÓW

Tęsknica.

W jaki sposób pocieszyć strapioną koleżankę, aby słowa pociechy odniosły skutek?

Odp.: Jeżeli sama nie podołasz ją pocieszyć, zwróć się do pogotowia ratunkowego; ostatecznie czekoladka jest dobrym środkiem.

PRENUMERATA ROCZNA 2 zł. z PRZESYŁKĄ 2,50.

Adres Redakcji: SEMINARIUM NAUCZ. ŻEŃSKIE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce.